

**ŚMARTWE
ŚWIATŁO**

Ostatnio ukazały się:

Magda Parus – Wilcze dziedzictwo. Przeznaczona

Mariusz Kaszyński – Rytuał

Krzysztof Piskorski – Zadra. Tom II

Anna Brzezińska – Opowieści z Wilżyńskiej Doliny (wyd. II)

Krzysztof Kochański – Zabójca czarownic

W przygotowaniu:

Krzysztof Kochański – Drzwi do piekła

Magdalena Salik – Gildia Hordów

MARIUSZ KASZYŃSKI

**ŚMARTWE
ŚWIATŁO**



Agencja Wydawnicza
RUNA

MARTWE ŚWIATŁO

Copyright © by Mariusz Kaszyński, Warszawa 2009

Copyright © for the cover illustration by Tomasz Maroński

Copyright © 2009 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2009

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentu książki możliwe są tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Opracowanie graficzne okładki: własne

Redakcja: Urszula Okrzeja

Korekta: Magdalena Górnicka

Skład: własny

Druk: Drukarnia GS Sp. z o.o.

ul. Zabłocie 43, 30–701 Kraków

Wydanie I

Warszawa 2009

ISBN: 978–83–89595–51–5

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA

00–844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 408

tel./fax: (0–22) 45 70 385

e-mail: runa@runa.pl

Zapraszamy na naszą stronę internetową:

www.runa.pl

ROZDZIAŁ 1

Robert przystanął przed blokiem i zadarł głowę. Zapowiadał się piękny dzień. Niebo było prawie bezchmurne, a właściwie bezchmurne, o ile nie liczyć tego małego obłoczku, który przesłoniła jaskrawozielona bryła budynku.

– To tutaj. – Skinął na Marcina.

Słowa były zbędne, obaj doskonale znali to osiedle. Robert się tu wychował, Marcin pochodził z innej części miasta, jednak żyjąc w małej, czterdziestotysięcznej dziurze nie sposób nie znać wszystkich jej zakamarków. Zwłaszcza jeśli się je codziennie patroluje. Bez wątplenia stali przed Bema 5 i gdyby mieli ochotę choć trochę się wysilić, mogliby po numerze mieszkania określić, które okna należą do Piotra Gradowskiego.

Robert wyciągnął z kieszeni mały notes. Piotr Gradowski, ulica Bema 5, mieszkania 23. Wszystko się zgadzało, nic nie pokręcił. Co prawda, dotąd mu się to nie zdarzyło, ale przecież w końcu musi być ten pierwszy

raz. A budzić kogoś w sobotę o ósmej rano, by go uspokoić, i poniewczasie zorientować się, że zgłoszenie dotyczyło sąsiedniego bloku, było zdecydowanie kiepskim żartem. Nie śmiesznym dla obu stron.

Mężczyźni podeszli do klatki schodowej i Marcin schylił się, by odnaleźć wśród rozsianych na domofonie przycisków właściwy numer. Policjant miał grubo ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i pozycja, którą przybrał, była tyleż niewygodna, co groteskowa.

– Nie kłopotz się – Robert kiwnął głową w stronę drzwi. Przez szklaną taflę dostrzegł schodzącą po schodach kobietę. Przed nią dreptał mniej więcej dziesięcioletni chłopiec.

– Dzień dobry – powiedział poważnie malec, gdy drzwi uchyliły się i wyszedł na zewnątrz. – Panowie są z policji?

– Jasne. – Marcin wyciągnął ku niemu swą niemałą dłoń, w której rączka chłopca, gdy w końcu odważył się odwzajemnić uścisk, wyglądała jak łapka średniej wielkości maskotki.

– Jak dorosnę, też zostanę policjantem. – Chłopiec się uśmiechnął.

– Na pewno się przydasz – stwierdził Robert, starając się zachować powagę, po czym spojrzał na twarz matki dzieciaka i cała jego wesołość prysła. Kobieta z pewnością nie podzielała entuzjazmu syna.

– Dopiero się zjawiacie? Krzyki słyhać od szóstej, albo i lepiej.

Marcin skrzywił się i Robert odzyskał dobry nastrój, w jaki zawsze wprowadzała go nieśmiałość partnera. Blisko dwa metry wzrostu, w barach szerszy od baobabu,

a jak przedszkolak daje się rugać pierwszej lepszej paniusi w niespecjalnym humorze.

– Trzeba było zadzwonić wcześniej. Pracujemy w policji, nie u jasnowidza – rzucił kwaśno Robert. – Zgłoszenie dostaliśmy dosłownie przed chwilą.

– Do panów obowiązków należy pilnować porządku.

– Przepraszamy, stacja podsłuchowa jest dopiero wdrażana, ale gdy już ruszy, nawet kot nie zamiauczy bez naszej wiedzy – rzucił z bezczelnym uśmiechem.

Kto powiedział, że policjant powinien być uprzejmy? Minister spraw wewnętrznych? Komendant główny? Który z tych debilów? Niech ruszą dupska zza biurka i niech zobaczą jak to naprawdę jest. Od chwili, gdy powiadomiono ich przez radio o sprawie, nie minęło nawet pięć minut – byli akurat w pobliżu – i co? Wszyscy by chcieli, żeby przybyli przed zgłoszeniem. A najlepiej jeszcze zanim rozpoczęły się hałasy.

Kobieta zmieszała się, burknęła coś niewyraźnie i chwyciwszy syna za rękę, odeszła szybkim krokiem. Robert prawie tego żałował, miał ochotę podyskutować sobie z kimś. No cóż, nic straconego, może odbije sobie u tego nocnego marka czy też porannego śpiwaka? Czuł nieprzepartą ciekawość, czy chodziło o kogoś, kto nie zauważył, że huczny piątkowy wieczór już stosunkowo dawno temu dobiegł końca, czy raczej o przepełnionego energią furiata, przekonanego o tym, że skoro on nie śpi, nie powinien też spać nikt w okolicy. Robert spojrzął na zegarek. Za pięć ósma. O tej porze wezwania w sprawie zakłócania spokoju zdarzały się raczej rzadko. A tu podobno ktoś szalał już od dwóch godzin...

Marcin przytrzymał drzwi, zanim zdążyły się zamknąć, i weszli do środka. Na pierwszych drzwiach po lewej, na mosiężnej tabliczce widniała liczba osiemnaście. Oznaczało to, że delikwent mieszkał na drugim piętrze, po prawej. Robert bez słowa skierował się na górę. Może w powszechnej opinii typowy policjant to idiota niepotrafiący dodać dwa do dwóch, ale rzeczywistość, przynajmniej w jego przypadku, różniła się od tego, co pokazywali w telewizji.

– Co obstawiasz? Facet zabalował? – rzucił do kumpla.

– Raczej wrócił z nocnej zmiany i znalazł prezerwatywę pod łóżkiem, a teraz uzgadnia to z żoną. – Marcin się wyszczerzył.

Gdyby Robert nie znał partnera, ten uśmiech mógłby wydać się mu groźny. Nie potrafił tego zrozumieć. Jego kumpel, chłop na schwał, mogący przstraszyć wpie-nionego King Konga, uśmiechał się tak, jakby właśnie w jego mózgu wykluła się myśl, by cię bardzo, bardzo boleśnie i powoli zamordować, a przecież tak naprawdę to była dusza świętego obleczona w ciało. Skąd się tacy biorą? Czy to żart stwórcy? Gdy się poznali, Robert zastanawiał się nad tym prawie codziennie. Obecnie przeszedł nad tym do porządku dziennego. Widocznie tak już jest, że potwór Frankenstein ma często lepsze serce niż sam Frankenstein. Kaprys natury.

Dotarli na drugie piętro i Robert zapukał; rzadko używał dzwonka, wyłącznie wtedy, gdy długo mu nie otwierano. Taki nawyk, kolejna rzecz dziejąca się właściwie bez przyczyny.

– Może już poszedł do pracy...? – mruknął.

– Prędeż usnął.

Robert zapukał po raz drugi.

– Proszę otworzyć, policja.

Zero reakcji, ale jeśli się nie przesłyszał, ze środka dobiegł jakiś dźwięk. Coś przypominającego stukot przewracanego stołka. Był ledwie słyszalny, być może hałas wytłumił dywan, jednak zdaniem Roberta odgłos z całą pewnością dochodził z mieszkania.

– Słyszałeś? – spytał Marcina.

Jego wielki partner pokręcił wielką głową.

Robert nacisnął dzwonek. Na szczęście to nie był jeden z tych, które po obu stronach drzwi brzmią jak oszalały młot pneumatyczny. Mężczyzna kilkakrotnie się z takimi spotkał i zawsze szczerze je przeklinał. No cóż, awersja do dzwonek, wręcz uczulenie.

Upór policjanta poskutkował. Drzwi się otworzyły. Z tym że były to drzwi sąsiedniego mieszkania. Na klatkę wyjrzała siwowłosa staruszka o zmęczonych oczach. Zdaniem Roberta wyglądała na chronicznie niewyspaną.

– Te krzyki... – szepnęła. – One były nieludzkie.

– Dawno ucichły? – zapytał Marcin.

Robert przez chwilę sądził, że samo brzmienie głosu jego partnera spłoszy sąsiadkę gościa od porannych hałasów, ale się pomylił. Kobieta wcale nie wyglądała na przestraszoną.

– Dosłownie przed chwilą – powiedziała. – Pisk ucichł przed góra pięcioma minutami.

– Pisk? – Roberta naszły złe przecucia.

Nie pragnął złych przecuć. Nie dzisiaj. Zaczynał się piękny słoneczny dzień, a on chciał się nim delectować.

Tym bardziej, że jutro miał wolne. Nie były mu potrzebne żadne sensacje. Owszem, chętnie by kogoś spisał, wlepił mandat, czy coś w tym rodzaju; drobne przyjemności, to wszystko czego potrzebował w ten kwietniowy poranek.

Staruszka skinęła głową. Mężczyzna oczekiwał czegoś więcej – wyjaśnień, narzekań. Przecież znał ten rodzaj kobiet – wścibskie, znudzone emerytki, pragnące się wygadać za długie godziny ciszy spędzone samotnie przed telewizorem lub radiem (wiadomo zresztą jaką stacją) – tym razem jednak musiał się zadowolić tylko gestem. To jemu przyszło drążyć temat.

– To duża rodzina? – spytał.

– Ojciec z trójką dzieci, dwie dziewczynki i chłopiec.

Konkretne pytanie, konkretna odpowiedź. Jak w ping-pongu. Ani jednego niepotrzebnego słowa.

– A matka?

– Zginęła w wypadku.

Darował sobie kolejne pytania. Wyglądało na to, że musiałby zadać ich wiele, by poznać wszystkie szczegóły. Zresztą, nie po to go tu przysłano. Chodziło o zakłócanie ciszy. I choć panował już spokój, musiał to sprawdzić. Uniósł rękę, by ponownie zadzwonić – wołałby zapukać, pukanie jest takie... mniej inwazyjne – lecz staruszka była szybsza. Zrobiła trzy kroki i nacisnęła klamkę.

– Nie słyszałam, by zamykał zasuwę – wyjaśniła.

Drzwi faktycznie uchyliły się.

Robert miał już spytać kobietę, czy szpieguje wszystkich sąsiadów, czy tylko tego jednego, ale się powstrzymał.

Jakiś wewnętrzny głos kazał mu przede wszystkim jak najszybciej zajrzeć do mieszkania.

– Halo, jest tam ktoś?! – zawołał.

Nie było odpowiedzi. A może była...? Dźwięk na granicy słyszalności, coś jakby rżenie. Mężczyzna pchnął mocniej drzwi. Ukazał się przedpokój. Pusty, wciąż nikt ku nim nie wyszedł. Dotarł do nich jedynie smród wymiocin.

– Uchlał się, a teraz zasnął. Nie obudziłby go stepujący słoń – mruknął Marcin, po czym dodał głośniejszym głosem: – Wygląda na to, że dzisiaj ja będę stawiał.

Robert nie myślał o zakładzie. Owszem, piwo po pracy miła rzecz, zwłaszcza gdy nie musisz za nie płacić, jednak myśli mężczyzny zajęły płamy ciągnące się przez cały przedpokój. Na brązowym linoleum wydawały się po prostu ciemne, prawie czarne, jednak policjant miał wrażenie, że w rzeczywistości są czerwone. Krew – o ile się oczywiście nie mylił – dużo krwi. A w niej odcisnięte ślady bosych stóp. Małych, dziecięcych.

– Proszę tu zostać – powiedział odruchowo do starszki i wszedł do mieszkania.

– Zamierzasz go bu... – zaczął Marcin, ale nie dokończył. Teraz i on dostrzegł szkarłatny wzór.

Robert nie miał już wątpliwości, ciecz była czerwona. Może to nie krew, może sok malinowy albo coś jeszcze innego – może po prostu oglądał ostatnio za dużo brutalnych filmów i stąd to paskudne skojarzenie – ale na pewno to coś było czerwone.

Skierował się w lewo, w stronę dużego pokoju – salonu albo nawet living room’u, jak by powiedzieli pieprzeni inteligenci z pieprzonych dużych miast; tu, u nich,

to był po prostu duży pokój. Słyszał za sobą kroki Marcina, ale jego partner poszedł w drugą stronę. Może miał rację, kierując się tam, dokąd ślady prowadziły. Robert chciał jednak dowiedzieć się, gdzie się zaczynają. Ta myśl nie była racjonalna, ale wcale nie czuł się zdolny do racjonalnych działań. Podświadomie czuł, że ciecz na podłodze jest jednak krwią. Że ktoś zarznął tu świnia-ka... bo chyba nie człowieka... No nie, nie w taki piękny dzień... Wstrzymał oddech i zajął do pokoju.

Zobaczył lewitujące ciało. Zjawę. Jej, a właściwie jego – gdyż był to mężczyzna – stopy znajdowały się trzydzieści centymetrów nad podłogą. Widziadło unosiło się w powietrzu i lekko drgało. Latający zombie. To była pierwsza myśl, która wykluła się w mózgu Roberta. Druga była już przytomniejsza, policjant dostrzegł linę, która łączyła ofiarę z żyrandolem. Facet się powiesił.

I jeszcze żył. Wciąż rzeził. Stukot, który Robert usłyszał, stojąc przed drzwiami, nie był niczym innym jak odgłosem przewracanego stołka.

– Cholera! – jęknął Robert, rzucając się do przodu. Czuł, że jeszcze może go uratować. W każdym razie widział takie rzeczy na filmach. Należało gościa lekko unieść i zdjąć mu linę. Była szansa.

Policjant przypadł do samobójcy i objął go w pól. Facet był nadszpedzowanie ciężki, ale nie na tyle, by Robert nie mógł dać sobie rady. Zresztą do pomocy miał Marcina. Ten mógłby podnieść tego idiotę jednym palcem, a jeśli nie jednym, to już z pewnością trzema.

– Marcin – zawołał cicho.

Spokojnie, bez zbytej sensacji, bo jeszcze ta baba tu przyjdzie... Przyjdzie i narobi rabanu. A może nawet

im tu zejdzie... Sprawiała wrażenie kogoś, kto stoi nad grobem. Choć, z drugiej strony, poruszała się sprawnie – zdążyła zrobić trzy kroki, zanim on sięgnął do dzwonka. Owszem, nie spieszył się, nienawidzi dzwonek, każdy może mieć jakieś pieprzone skrzywienie, prawda? Ale babcia była żwawa...

Odpędził od siebie te myśli. Miał inne zmartwienia.

– Marcin – zawołał nieco głośniej.

Gdzie się podział, do cholery? Chyba nagle nie ogłuchł?

– Chodź mi pomóc!

Facet ważył sporo, jednak Robert mógł go jeszcze trochę potrzymać. Po prostu chciałby wreszcie przestać wtulać twarz w jego brzuch. Pępki mężczyzn zdecydowanie go nie interesowały. Co innego gdyby ratował ponętą babkę. Złapałby wtedy nieco niżej, tak na wysokości tyłka, i mógłby sobie trzymać. Do zasranej śmierci. Jej, rzecz jasna. Czy to byłaby już nekrofilia? Parsknął śmiechem.

– Marcin! Raczyłbyś mi pomóc?

Podejrzewał, że partner robi sobie z niego żarty. Robert nie widział innego wytłumaczenia. Nie było go już tyle czasu, że dotąd zdołałby trzykrotnie przetrząsnąć całe mieszkanie. Marcin nie mógł być zajęty, chyba że na innych żyrandolach czekały kolejne niespodzianki. Pokręcił delikatnie głową, pocierając nosem brzuch wisielca. Dobrze, że facet nie był z tych, co to nade wszystko pielęgnują mięsień piwny. Jeśli już musisz wciskać twarz w brzuch innego chłopca, lepiej żeby był chudy. Zawsze to mniej obrzydliwe.

Robert obrócił się nieco, by zerknąć do przedpokoju. Spodziewał się ujrzeć kumpla rozpartego przy futrynie (odrobinę, naprawdę odrobineczkę, zgiętego, rzecz jasna) i uśmiechającego się od ucha do ucha, uśmiechem, który, gdyby go przyłożyć do kogoś innego, mógłby mu się okręcić trzy razy wokół głowy. Ale nie zobaczył nikogo.

– Marcin!

To już przestało być zabawne. Stało się raczej wkurzające. Delikatnie rzecz ujmując. Jeśli natychmiast nie zdejmie tego faceta, równie dobrze może go puścić. Efekt będzie ten sam. A on jedynie niepotrzebnie się poci.

– Kurwa mać, pomóż mi! – wrzasnął.

Nie ważne, kto to usłyszy. Jeśli staruszka tu wejdzie i jej serducho tego nie wytrzyma, to przecież tak naprawdę to nie jego problem, nieprawdaz? W końcu kazał jej zostać na klatce. Teraz pożałował, że nie polecił wrócić do siebie. Ale to normalne, człowiek zawsze mądrzeje po fakcie.

– Co się sss...?

A jednak weszła. Tego akurat mógł się spodziewać. Stała w drzwiach prowadzących z przedpokoju do dużego pokoju i lustrowała rozszerzonymi oczami jego wnętrze. Wydawała się bledsza od krochmalonego prześcieradła. Poza tym Robert miał wrażenie, że kobieta go nie dostrzegła. Jej wzrok zatrzymał się na czymś za jego plecami, ale policjanta gównem obchodziło, co to takiego. Pierwsze primo, jak mawiał jego wuj (raczej mało prawdopodobne, że sam to wymyślił), to ściągnąć tego faceta.

– Proszę pani...

Zero reakcji. Z jakiego miasta uciekali i czyją żoną była babka, która zamieniła się w słup soli? Nie pamiętał. Nie pamiętał również, gdzie i kiedy o tym słyszał. Na polskim czy na religii...? Nieważne, tak samo jak nie miało znaczenia, czy owym miastem była Hiroszima, czy Nowy Jork, czy też jakieś inne cholerstwo. W każdym razie podobna opowieść tłukła mu się po zakamarkach pamięci. Baba zamieniona w słup soli. To właśnie miał przed sobą.

– Niech mi pani pomoże. W kieszeni mam scyzoryk...

Mówił do niej, ale wiedział, że to nie ma sensu. Nie słuchała go. Nie usłyszałyby nawet trąb oznajmiających, że właśnie rozpoczyna się Sąd Ostateczny. Była jak posąg, który, popchnięty, upadnie jak kłoda. Co najwyżej potłucze się na kawałeczki, ale staruszka i tak już wydawała się potłuczona... Od środka.

– Wyjmij, babo, nóż!

Poddał się. Dalsze prośby nie miały sensu. Nie pomógł mu Marcin, nie pomogła kobieta, musiał radzić sobie sam. Jeśli mu się nie uda, mówi się trudno. W końcu nie ryzykował własnego życia. Jego mózg nie zmienił się jeszcze w kupę gówna i Robert nie zamierzał z własnej woli schodzić z tego świata. Zostawiał to skończonym kretynom.

– Dobra, gościu, trzymaj się – mruknął, puszczając go jedną ręką i sięgając do kieszeni.

Dopiero teraz facet wydał mu się naprawdę ciężki. Kurewsko ciężki. Lina ponownie musiała go nieco przydusić, ale żył, a w każdym razie wciąż rzeził. Na szczęście Robert nie miał problemów z wydostaniem

scyzoryka. Czym innym było jednak wydobyć go z kieszeni, a czym innym otworzenie jedną ręką. Mężczyzna zerknął na staruszkę, ale ta nie mogła mu pomóc. Posąg z soli rozsypał się i baba leżała nieprzytomna na podłodze. No cóż, mógł albo puścić faceta – czuł, że skutki byłyby opłakane – albo... No właśnie... czy zdołałby uchwycić ostrze zębami?

– Jeśli zetrę sobie szkliwo, to cię zamorduję – rzucił ze złością – nawet gdybyś wcześniej wykorkował.

Przysunął scyzoryk do ust. Pierwsza i druga próba się nie powiodła. Zęby ześlizgiwały się ze stali. Za trzecim razem jednak udało mu się zahaczyć o małe wyżłobienie, które, zdaje się, służyło właśnie do tego celu – by otworzyć to cholerstwo. No, może nie zębami, nikt o tym jakoś nie pomyślał, a szkoda... Pociągnął i ostrze wysunęło się ze środka. Sukces był jednak okupiony krótkim, choć przeszywającym na wskroś, bólem w górnej jedyńce. Czy był to znak, by zajrzeć do dentysty, czy raczej przestroga przed takimi głupimi pomysłami, jak na przykład otwieranie noża zębami? Robert nie zastanawiał się nad tym. Rozmyślał wyłącznie o tym, jak mu będzie błogo, gdy już wylądują z facetem na podłodze. Ironia losu, gdyby kwadrans temu ktoś powiedział mu, że wkrótce nie będzie się mógł doczekać chwili, gdy padnie na dywan z mężczyzną – może nawet i przystojnym, trudno to powiedzieć przy tej sinej twarzy i wybałuszonych gałach, ale jednak mężczyzną – chyba obiłby mu mordę. Nie, na pewno obiłby mu mordę. Oczywiście prywatnie, poza służbą.

– No, kochanieńki, tatuś zaraz cię spuści. – Zaśmiał się chrapliwie. To wydyszane „cię” brzmiało prawie jak „się”.

Przemknęło mu przez głowę, że jeśli Marcin nie znajdzie sobie dobrej wymówki, też dostanie po ryju. Nieważne, że będzie to walka muchy z brontozaurem. Da mu w ryj i nie pozwoli się przekupić piwem. Chyba że skrzynką...

Robert uniósł prawą rękę i wymacał sznur. Musiał przy tym stanąć na palcach i było mu kurewsko niewygodnie. Dźwigać jakieś osiemdziesiąt kilo, stojąc na palcach, dobre, można by to było zamieścić w książce; już widział tytuł: „Tortury dla zaawansowanych”, z cyklu: „A dzień zaczynał się tak pięknie...”. Napał ostrzem na sznur, przycinając go kilkoma szybkimi ruchami, po czym nie mogąc powstrzymać obłąkańczego śmiechu, przewrócił się wraz z wisielcem na podłogę.

Facet oddychał, nie wykitował. Robert śmiał się coraz głośniej. Spróbował wygrzebać się spod ciężaru niedoszłego samobójcy i wtedy śmiech zamarł mu w gardle. Jego dłoń oparła się na śliskiej i lepkiej powierzchni dywanu. Podobno wisielcom puszczają zwieracze, ale to nie było to. Podniósł rękę do oczu, jakby obawiając się spojrzeć w tamto miejsce. Tak jak przypuszczał, była cała czerwona. Przypomniał sobie ślady w przedpokoju. Wisielcy nie krwawią, tu zaszło coś jeszcze. Zepchnął z siebie mężczyznę.

Rozejrzał się – do tej pory nie zaszczycił pokoju nawet jednym spojrzeniem, całkowicie skupiając się na ratowaniu tego gościa – i tak jak wcześniej śmiech, teraz krzyk stanął mu w gardle niczym kość. Tuż obok niego leżały zwłoki dziewczynki. Była mała. Robert miał pięcioletnią siostrzenicę, a ta wydawała się od niej niewiele starsza. Ktoś poderzwał jej gardło. Porządnie

i z rozmachem, wyglądało to tak, jakby próbował odciąć głowę. Wokół było tyle krwi, że wystarczyłoby do pomalowania kilku ścian.

Jednak nie zwłoki tego dziecka były najgorsze. O, nie. Pokój przypominał pracownię artysty-rzeźnika, który zażył jakieś świństwo. Było tu pełno krwi, wymiocin, a nad kanapą wisiało coś, co Robert w pierwszej chwili wziął za dużą, pozbawioną głowy i przybitą do ściany lalkę. Tylko że to nie była lalka. Lalki nie krwawią. Produkuje się już lalki, które płaczą, piją mleczko, robią siusiu, a nawet kupkę, ale, na litość Boską, nie krwawiące! Na coś takiego nie wpadł jeszcze żaden szaleniec.

Na ścianie, w smugach zakrzepłej już krwi, wisiało dziecko. Sądząc po ubrankach, chłopczyk. Jego głowa zaklinowała się między wersalką a ścianą i tkwiła tam odwrócona tyłem do policjanta. Robert podziękował za to w duchu Stwórcy, czy komuś tam, kto to sprawił. Gdyby twarzyczka była skierowana na pomieszczenie, i gdyby jeszcze miała otwarte oczy, chyba by oszalał. Nie dlatego, że tak czuł się o wiele lepiej, ale przynajmniej jego zmysły trzymały się kupy. Na razie.

Mężczyzna odwrócił się, pragnąc jak najszybciej uciec z tego mieszkania. Nie chciał już nic widzieć, ale nie potrafił zamknąć oczu. Te wszystkie szczegóły same się w nie pchały. Zakrwawiona siekiera leżąca w kałuży żółtawych, na wpół strawionych resztek, czerwone odciski dłoni na ścianach, brązowiejące już plamy na dywanie.

– Coś ty zrobił, sukinsynu?!